GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 LUTEGO 1937 R.

Nr. 3 ROK VII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 3

1937 R.

1 — II

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

ZWYŻKOWA KONIUNKTURA A KARTELE

Działalność karteli w fazie zwyżkowej koniunktury może łatwo spowodować, że zwyżkowa koniunktura stanie się tylko koniunkturą cen i nie wywrze dostatecznie poważnego wpływu na realny wzrost dochodu narodowego.

P. Ludwik Berger w Nr. 13 „Gospodarki Narodowej" z dnia 1.VII. 1936 r. wysunął tezę, że problemat kartelowy w fazie ożywienia koniunkturalnego jest równie albo i więcej jeszcze doniosły niż w fazie depresji koniunkturalnej, a równocześnie skonstatował, że dyskusja w sprawie kartelowej została w połowie przebiegu przerwana. Autor wyraził przy tem pogląd, że przyczyną poniechania dyskusji kartelowej była świadomość, iż nie można liczyć na jakieś radykalniejsze pociągnięcia rządu na odcinku skartelizowanych działów ekonomiki polskiej.

Powyższe tłumaczenie nie jest, moim zdaniem, wystarczające. Słuszne może ono być w odniesieniu do prasy reprezentującej poglądy zainteresowanych sfer gospodarczych, które z natury rzeczy traktują zagadnienia gospodarcze nie pod kątem widzenia zainteresowań teoretycznych. Natomiast jeśli chodzi np. o prasę codzienną, będącą wyrazicielem poglądów różnych odłamów społeczno - politycznych, to kieruje się ona w swej tematyce nastrojami mas, do których chce trafić. W okresie depresji koniunkturalnej temat kartelowy był bardzo „modny" i emocjonalnie absorbujący opinię społeczną z tej prostej przyczyny, że dotyczył kwestii podziału skurczonego w okresie kryzysu dochodu społecznego. Jest rzeczą notoryczną, że szerokie masy interesują przede wszystkim zagadnienia podziału dochodu a nie produkcji i jej organizacji. Z chwilą, gdy wystąpiła wyraźniejsza poprawa gospodarcza i dochód społeczny zaczął wzrastać, problem podziału tego dochodu stracił nieco na ostrości i zainteresowania społeczeństwa kwestią kartelową osłabły. Zapotrzebowanie społeczne na artykuły prasowe o kartelach zmalało, więc prasa ograniczyła podaż.

Nie znaczy to oczywiście, że problem kartelowy w ogóle stracił swą akualność. Jako zagadnienie strukturalne nie zmienia on swojej wagi w zależności od fazy koniunkturalnej, a na rozwój koniunktury zwyżkowej kartele tak samo wywierają wpływ, jak na rozwój koniunktury zniżkowej. W szczególności doniosłym wydaje się wpływ działalności karteli na to, czy bieżąca faza koniunkturalna będzie kształtować się jako koniunktura ilości czy tylko jako koniunktura cen. Jeśli zaś chodzi o sprawy strukturalne, to, gdy w okresie kryzysu nawoływano do wykorzystania go celem likwidacji przerostów, konserwowanych przez organizacje kartelowe, to dziś przy koniunkturze zwyżkowej należy postawić kwestię zapobiegania tworzeniu się nowych czy też dalszych przerostów i likwidacji „niedorostków". Wiadomo, że zaistnienie wielu z pośród tych przerostów i niedorostów powstało nie z winy działalności karteli, ale jest spadkiem przeszłości, skutkiem powstawania przemysłu w związku z przynależnością do obcych organizmów państwowych. Konserwowanie tych pozostałości przez kartele jest często tylko postępowaniem po linii najmniejszego oporu.

Konieczność przekształcania się organizacyjnej, technicznej, geograficznej i kapitałowej struktury naszego przemysłu, tak ażeby następowało jak najbar-

dziej mocne i celowe wiązanie się życia gospodarczego z polskim obszarem państwowym, jest zdaje się już dość uświadomiona. Zwyżkowa koniunktura w zasadzie sprzyja stawianiu sobie i realizowaniu poszczególnych zadań, będących etapami na tej drodze. We wszystkich poruszonych sprawach zagadnienia karteli, ściślej rola polityki kartelowej państwa i polityki karteli jest, powtarzamy, doniosła. Warto by więc zagadnienia kartelowe znowu postawić na porządku dziennym i przedyskutować, korzystając z tego, iż można to dziś łatwiej zrobić sine ira et cum studio, w przeciwieństwie do okresu minionego, w którym szerokie ramy społeczne dyskusji oraz traktowanie jej głównie pod kątem sprawiedliwego podziału dochodu społecznego wnosiły zbyt silne zabarwienia emocjonalne. Nie znaczy to oczywiście, że kwestia sprawiedliwego podziału dochodu społecznego jest obojętną, chodzi tylko o umowne pozostawienie jej poza nawiasem dyskusji. Na wstępie nasuwa się parę uwag teoretycznych o pojęciach koniunktury ilościowej i koniunktury cen. Sens działalności gospodarczej polega na wytwarzaniu dóbr i z pojęciem dobrej koniunktury wiąże się nierozłącznie supozycja o wzroście wytwórczości, to znaczy, realnego dochodu społecznego. Na podstawie obserwacji zostało sformułowane „prawo" ekonomiczne, że wzrost cen idzie zawsze w parze ze wzrostem wytwórczości. W rezultacie działania obu tych procesów nominał dochodu społecznego wzrastał wprawdzie więcej niż dochód realny ale i ten ostatni wzrastał dostatecznie wydatnie. Sens gospodarczy, powtarzam, tkwił we wzroście produkcji, a więc w zwiększonym zaspakajaniu potrzeb.

Stuprocentowa koniunktura cen oczywiście „w przyrodzie" nie istnieje; prosta logika mówi, że tego rodzaju „koniunktura" nie miałaby żadnego znaczenia. Mówiąc zatem *koniunktura cen* mamy na myśli taki rozwój procesów gospodarczych, kiedy wzrost cen przekracza i wyprzedza wzrost produkcji.

Wiek XIX nie znał odróżniania tych dwóch rodzajów koniunktur, gdyż w warunkach liberalizmu gospodarczego wzrost cen i produkcji postępował równolegle. Koniunktura cen może powstawać tylko w warunkach zahamowania automatyzmu w tworzeniu się cen oraz kształtowania się popytu i podaży, ściślej mówiąc w warunkach kartelizacji życia gospodarczego i interwencjonizmu państwa. Interwencjonizm państwa kieruje się względami pozagospodarczymi, to też jego wpływ na tworzenie się koniunktury cen jest wtórny. Natomiast świadomym celem istnienia karteli jest regulowanie podaży w zamiarze uzyskania wyższych cen. Zwyżkowa koniunktura sprzyja podnoszeniu cen i osiągania większych zysków bez odpowiedniego powiększania nakładu pracy i kapitału, co nie byłoby możliwem np. przy swobodnej cyrkulacji kapitałów. Słowem kartelizacja życia gospodarczego przez samo swe istnienie stwarza prąd do uczynienia zwyżkowej koniunktury koniunkturą cen.

Dodać przy tem należy, że nieskartelizowane działy gospodarstwa narodowego nie mogą nadążać w zwyżce cen za kartelami, a hamowanie wzrostu swej wytwórczości przez kartele hamuje również wzrost produkcji w działach nieskartelizowanych. Nierównomierność wzrostu cen oznacza wzmożenie się procesów przewłaszczania dochodu społecznego. Możemy zatem scharakteryzować koniunkturę cen również jako przewagę procesów przewłaszczania dochodu społecznego nad procesami pomnażania tego dochodu. Różnica między tymi dwoma procesami może nie być uświadamiana przez jednostkę gospodarującą, która zupełnie szczerze może uważać wzrost własnych dochodów pieniężnych za część ogólnego przyrostu dochodu narodowego, tymczasem ten ostatni mierzy się tylko ogólną i realną wysokością produkcji.

Ze strony organizacyj kartelowych w Polsce są obecnie wyraźnie ujawnione dążenia do zwyżki cen. Dążenie to w okresie koniunktury zwyżkowej jest zrozumiałe i powiedzmy sobie odrazu, że pewnej zwyżki cen uniknąć się nie da. Chodzi jednak o to, jak wielka ma być ta zwyżka i w jakich gałęziach produkcji ma się ujawniać, bo wiadomą jest rzeczą, że nie jest ważny bezwzględny poziom cen ale relacje poszczególnych cen między sobą. W tym zakresie są dwa aspekty sprawy: relacja cen polskich i zagranicznych oraz relacje cen wewnętrznych.

Rola stosunku cen polskich i zagranicznych jest jasna, była ona oświetlana w prasie podczas dyskusji nad problemem — dewaluować czy nie dewaluować. Dla porządku zanotujemy, iż problem polega na tem, żeby światowa zwyżka cen wyprzedzała naszą, w przeciwnym bowiem wypadku powstanie niebezpieczeństwo dla naszej waluty. Ewolucja cen światowych zakreśla granice przeciętnego tempa wzrostu cen polskich.

Postulat zwyżki cen jest uzasadniany dwojako: przyczynowo i celowo. Pierwsza grupa argumentów dotyczy kwestii wzrostu kosztów produkcji, druga obraca się dookoła konieczności kapitalizacji, z powołaniem się na podstawowe konieczności naszego gospodarstwa narodowego, jak konieczność uprzemysłowienia i inwestycyj. Wydaje się, iż obecność tej drugiej grupy argumentów świadczy o tem, iż postulowane zwyżki cen przekraczają ewentualny wzrost kosztów produkcji.

Rozpatrzmy po kolei obie grupy argumentów.

Przemysł powołuje się na wzrost cen surowców, poza tem kosztów utrzymania i uruchamiania drożej produkujących warsztatów. To są fakty niewątpliwe, ale nie są to przecież jedyne elementy w kształtowaniu się kosztów własnych. Istnieją również zjawiska działające w kierunku zniżki tych kosztów, a więc wzrost produkcji, pełniejsze wykorzystanie instalacyj, lepsze wykorzystanie załóg, lepszy stosunek między zbytem w kraju a deficytowym eksportem i potanienie kredytu. Wpływ tych czynników nie podobna generalizować, ale niewątpliwie istnieją gałęzie wytwórczości, w których rentowność wybitnie poprawiła się bez zwyżki cen. Dodać należy, że ograniczenia stosowane przy przywozie surowców zagranicznych niekoniecznie podwyższają koszt własny przemysłu, ale dostarczają mu dodatkowych zysków w postaci renty kontyngentowej.

Czynniki powyższe działają zarówno na skartelizowanym jak i wolnym odcinku życia gospodarczego. Jeśli chodzi o wzajemne relacje cen tych odcinków, to należy pamiętać, że ceny artykułów skartelizowa-

nych spadły w czasie kryzysu mniej niż wolnych, to też obecne tempo wzrostu cen nie powinno by być na obu odcinkach jednakowe.

Przejdźmy teraz do kwestii kapitalizacji i inwestycyj. To zagadnienie ma również dwie strony: wysokość stopy kapitalizacji oraz sprawę „rzeczowości" kapitalizacji, to znaczy gdzie i jakie inwestycje mają powstawać.

Ad primum należy wysunąć postulat, że „musi być zachowany pewien stosunek równowagi między gromadzeniem przez przedsiębiorstwa dochodów i rezerw a wzrostem siły nabywczej odbiorców" (H. Tennenbaum — „Uwagi o kryzysie"). Mechanizm wolnej konkurencji stwarzał naturalne hamulce zapobiegające naruszaniu równowagi w tej dziedzinie, ale mechanizm kartelowy takich hamulców nie ma. W braku hamulców naturalnych trzeba myśleć o sztucznych.

Ad secundum istnieje odpowiedź, że w dyslokacji inwestycyj kapitał kieruje się rentownością. Ale w dzisiejszych warunkach rentowność nie jest wynikiem naturalnej gry sił, lecz jest w ogromnym stopniu stwarzana przez kartele. Czyli, że kartele mają same stwarzać to kryterium, którym się kierują w działalności inwestycyjnej. Kartelowe planowanie inwestycyj nie koniecznie jednak będzie odpowiadać interesom gospodarstwa narodowego jako całości. O wiele chyba bardziej jest predystynowane do tego państwo. Państwo może pokierować procesami inwestycyjnymi drogą pośrednią — przez stwarzanie warunków rentowności w dziedzinach, których rozbudowa jest z tych lub innych względów wskazana, a więc usuwać niedorosty, a przez ograniczanie rentowności utrudniać powstawanie przerostów.

Wysoka rentowność i wysoka stopa kapitalizacji w jakiejś skartelizowanej gałęzi wytwórczości sama przez się nie daje jeszcze żadnej gwarancji, że ta gałąź wytwórczości będzie rozbudowywać się. Cena kartelowa może być bowiem tak skalkulowana, że nasyci możliwy przy tej cenie popyt, wykorzystując akurat istniejące instalacje. Brak większego popytu może wtedy być wykorzystany jako motywacja nierozszerzania produkcji. Mogą być również, jak wiemy z praktyki, czynione inwestycje przez uczestników kartelu dla powiększania swego przydziału kontyngentowego, ale bez powiększania globalnej produkcji. Trudno jest w warunkach braku kapitałów, konieczności uprzemysłowienia, zatrudnienia przyrostu ludności itd. ustosunkowywać się obojętnie do zużywania kapitałów na takie inwestycje, których jedynym celem i skutkiem są przesunięcia dochodu między uczestnikami jakiegoś kartelu. [1])

W ogóle, nawet pomijając te szczególnie jaskrawe wypadki, należy stać na stanowisku, że przy wybitnie niskiej produkcji i konsumcji na głowę ludności w Polsce, nie można kierować się w sprawie inwestycyj wyłącznie kryterium rentowności netto, a trzeba równolegle uwzględniać kryterium rentowności brutto — to znaczy wysokości produkcji na jednostkę włożonego kapitału.

Z dotychczasowych wywodów wynika, że kartele pozostawione samym sobie siłą rzeczy mogłyby zrobić ze zwyżkowej koniunktury możliwie czystą koniunkturę cen, uniemożliwiając rozrost wewnętrznego rynku zbytu i czyniąc tem samem niecelowemi inwestycje ze zgromadzonych płynnych rezerw, względnie robiłyby dużo inwestycyj, nie przyczyniających się zupełnie do wzrostu produkcji, a zatem bezużytecznych dla gospodarstwa narodowego. Powiedziałem jednak, że pewnej zwyżki cen uniknąć się nie da, wskazaniem ogólnym było by zatem, że zwyżka cen nie może dochodzić do granic, wyraźnie hamujących wzrost spożycia a więc rozrost rynku.

Od tego miejsca należy już podchodzić indywidualnie do cen każdego artykułu, do każdej gałęzi wytwórczości. Tak np. można by wysunąć pogląd, że jeśli dana gałąź produkcji nie zatrudnia jeszcze w pełni zdolności produkcyjnej swych warsztatów, to nie może powoływać się na konieczność wzmożonej kapitalizacji, bo inwestycje w tej branży są narazie zbędne, a zwyżka cen mogłaby je jeszcze bardziej zrobić zbędnemi. Stanowisko to należy jeszcze bardziej zaostrzyć, gdy dany kartel prowadzi politykę sztywnych kontyngentów zbytu.

Trzeba również specjalnie uwzględniać fakt, że największe nasze kartele to kartele surowcowe. Rynek zbytu rozrasta się, jak wynika z obserwacji rozwoju gospodarczego świata, głównie kosztem wzrostu zbytu środków produkcji. Surowce są środkami produkcji, hamowanie przeto zbytu surowców ogranicza rozrost rynku, przy tem ogranicza w stopniu większym niż wartość wyprodukowanego surowca. Z tych względów w sprawie zwyżki cen surowców trzeba zachowywać ogromną ostrożność. Jeśli każdy podręcznik skarbowości wysuwa jako przykład szczególnie szkodliwego podatku podatek na węgiel, nazywając go podatkiem uniwersalnym, to z równą słusznością możemy powiedzieć, że zwyżka ceny węgla jest uniwersalną zwyżką cen, co odrazu czyni ją wybitnie niepożądaną. Przemysł węglowy jeszcze, jak wiadomo, nie zatrudnia w pełni swej zdolności produkcyjnej. Jeśli ten stan osiągnie, to trzeba się będzie wówczas zastanowić, czy podnosić ceny, czy też zmniejszyć eksport, a inwestycje robić z kredytów, w czem państwo mogłoby przyjść z pomocą.

Co się tyczy żelaza, to jego cena wchodzi w skład kosztów wszystkich procesów inwestycyjnych. Nadmierny wzrost ceny żelaza podrożyłby więc i ograniczył wszystkie procesy inwestycyjne. Wysoka cena żelaza oznaczałaby koncentrację procesów kapitalizacji w hutnictwie, a hamowałaby kapitalizację zdekoncentrowaną w drobnych i średnich warsztatach pracy, a to znaczy tam, gdzie ona jest ze wszech miar pożądana. Interesującym jest przy tem pytanie, co byłoby większe: suma skapitalizowana przez huty dzięki zwyżce ceny żelaza, czy suma drobnych i średnich inwestycyj, poniechanych dzięki zwyżce ceny żelaza. W każdym bądź razie jeśli się wychodzi z założenia konieczności rozrostu procesów inwestycyjnych na jak najszerszym froncie, należy prowadzić politykę niskich cen węgla i żelaza.

W ogóle w dążeniu do zwiększenia kapitalizacji należy pamiętać, że istniejący zainwestowany kapitał

---

[1]) Dla nierentownych inwestycyj, powstałych wskutek interwencjonizmu państwowego stworzona została nazwa *fałszywych* inwestycyj, chociaż właściwem byłoby mówić *błędne*, bo słowo *fałsz* zawiera w sobie potępienie moralne, niekoniecznie w danym wypadku na miejscu. Dla wyżej wspomnianych inwestycyj kartelowych nie ma nazwy, co jest zrozumiałe, bo nie podobna dobrać.

jest tylko podstawą do obliczenia stopy kapitalizacji, natomiast tą rzeczywistą podstawą, na której kapitalizacja opiera się, jest zbyt. Wszelkie przeto ograniczenia zbytu wcześniej lub później odbiją się ujemnie na globalnej wysokości kapitalizacji, rozumianej nie tylko jako gromadzenie rezerw pieniężnych ale i jako ogromna ilość różnorodnych inwestycyj, często zupełnie nieuchwytnych statystycznie.

Konkluzją powyższych rozważań jest oczywiście konieczność wzmożenia kontroli państwa nad gospodarką karteli w zakresie nie tylko cen, ale i inwestycyj, oraz polityką sprzedaży w tych wypadkach, gdy wielki kartel surowcowy nadużywa swej siły w stosunku do drobnych i średnich przetwórców. Konkluzja ta jest całkowicie zbieżna z twierdzeniem, które wysunąłem w N 19. „Gos. Nar." z 1936 r., że podjęcie programu dozbrojenia w oparciu o pożyczkę francuską musi nadać naszej polityce gospodarczej pewne cechy gospodarki wojennej, a więc wzmocnić planującą i regulacyjną działalność państwa. W danych warunkach uważam to za obiektywną konieczność zupełnie niezależną od jakichkolwiek poglądów. Z poglądów może wynikać tylko kierunek tego planowania i regulowania oraz wybór metod.

HENRYK GRENIEWSKI

SKORYGOWANY HOMO OECONOMICUS

1.

Punkt wyjścia rozważań niniejszych stanowią pewne poglądy metodologiczne, które pozwoliłem sobie sformułować w roku ubiegłym w artykule p. t. „Myślenie statystyczne" (Gospodarka Narodowa, Nr. 13/36). Ze względu na znaczny odstęp czasu dzielący nas od wymienionego artykułu, pozwolę sobie tutaj niektóre, mianowicie interesujące nas obecnie, z tych poglądów dosłownie niemal powtórzyć.

Teorie naukowe nie dotyczą otaczającej nas rzeczywistości. Rzeczywistość ta jest, jak się zdaje zbyt skomplikowana, aby ją można było opisać w sposób dla celów naukowo-teoretycznych dostatecznie ścisły, oraz aby mogła być przedmiotem badania płodnych teoryj. Przedmiotem badania naukowego jest z reguły rzeczywistość wyschematyzowana, zatem — pewna fikcja. Jest to sprawa uzdolnień naukowca wyschematyzować postrzeganą rzeczywistość dostatecznie silnie, tak aby można było zbudować teorię „elegancką" i płodną i zarazem wyschematyzować rzeczywistość dostatecznie słabo na to, aby uzyskać wystarczającą (przybliżoną) zgodność teorii z rzeczywistością.

2.

Zdajemy sobie wszyscy sprawę z tego, że gatunek *homo oeconomicus* jest pewną fikcją, mianowicie rezultatem schematyzacji gatunku *homo sapiens.* Ponadto zdajemy sobie też sprawę z tego, że teoria postępowania fikcyjnych osobników gatunku zwanego „*homo oeconomicus*" nie wyczerpuje całości ekonomiki, która zresztą nie jest jedną teorią, lecz mnogością (zbiorem) różnych i nie zawsze zgodnych między sobą teoryj ekonomicznych. Fikcja *homo oeconomicus* nie jest rezultatem schematyzacji bardzo krańcowej, w rezultacie rozważania na temat postępowania tego urojonego człowieka są proste, przejrzyste, „eleganckie" i płodne, ale, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, rezultaty ich silnie odbiegają od postrzeganej rzeczywistości.

Jedną z cech różniących radykalnie „człowieka gospodarującego" od człowieka rzeczywistego jest gospodarcza wszechwiedza pierwszego z nich. Homo oeconomicus wie, że rentowność zamierzonej inwestycji A wyniesie np. 5% rocznie, zaś — inwestycji B tylko 4½%, wobec czego decyduje się na wykonanie inwestycji A. Tymczasem, jak dobrze wiemy, wielkości, zwane przez aktuariuszy „technicznemi", t. j. wielkości występujące w kalkulacji różnią się nieraz znacznie od wielkości efektywnych, poznawalnych dopiero ex post. Może się zdarzyć, że wbrew kalkulacji rentowność efektywna inwestycji B okaże się wyższa od rentowności efektywnej inwestycji A.

Ekonomiści zdają sobie, oczywiście, sprawę z wąskości zakresu zastosowań fikcji *homo eoconomicus,* gdyż np. w teoriach koniunktury gospodarczej mówią o „nieprzejrzystości rynku", o „chybionych inwestycjach" i t. p., a więc nie stosują w nich fikcji człowieka gospodarczo wszechwiedzącego, stosując jednak, zgodnie zresztą z wyłożonemi wyżej zasadami metodologicznemi, inne schematyzacje zarówno podmiotów gospodarujących jak i motywów ich działania, a wreszcie i samych działań gospodarczych.

3.

Omawiając „słabe strony" koncepcji człowieka gospodarującego nie mam wcale zamiaru kwestionowania pożyteczności tego pojęcia. Chodziło mi przede wszystkim o podkreślenie małej zastosowalności tego schematu. Ponadto mam na myśli cel bardziej pozytywny. Chodzi o to, czy nie byłoby wskazane staranne skonstruowanie nowej fikcji człowieka gospodarującego, odznaczającej się wprawdzie nie tak uderzającą prostotą konstrukcji, jak *homo oeconomicus,* ale za to bliższej człowieka rzeczywistego, a jednak nadającej się na przedmiot badań stosunkowo nieskomplikowanej teorii dedukcyjnej.

Ograniczam się tu zresztą tylko do sformułowania pewnych intencyj i sygestyj, nie kusząc się o podanie pełnego układu założeń, nowej fikcji dotyczących. Przy konstruowaniu nowego schematu proponuję zrezygnować z założenia wszechwiedzy gospodarczej w odniesieniu do „*homo eoconomicus II*". Natomiast należało by przyjąć założenie, że nasz „nowy" człowiek gospodarujący zna teorię prawdopodobieństwa, i że traktuje ilościowe wyniki swych zamierzonych czynności gospodarczych jako t. zw. przez matematyków „zmienne ewentualne". Klasyczny *homo oeco-*

nomicus I zna z góry rentowność zamierzonej lokaty, wie np. że wynosi ona 8% rocznie. *Homo eoconomicus II* wie natomiast znacznie mniej, wie on np. tylko tyle, że zamierzona lokata przyniesie mu 7½% do 8½% z prawdopodobieństwem 0,35, że przyniesie ona 6½% do 7½% z prawdopodobieństwem 0,10, że wreszcie przyniesie ona 8½% do 9½% z prawdopodobieństwem również 0,10, i t. d. i. t. d. *Homo oeconomicus II* może zresztą mieć b. ogólnikowe tylko wiadomości o lokatach, które ma do wyboru, ściślej o ich rentowności i bezpieczeństwie, mianowicie znać może tylko wartość średnią (t. zw. „nadzieję matematyczną") zmiennej ewentualnej zwanej „rentownością" i odchylenie średnie tej zmiennej, t. j. pewną miarę bezpieczeństwa lokaty. Ponadto *homo oeconomicus II* powinien być jeszcze zorientowany w stopniu zależności wzajemnej obu lokat (powinien mianowicie znać wartość spółczynnika korelacji między poszczególnemi rentownościami).

Wyżej naszkicowana konstrukcja może się wydać bardzo sztuczna i nadmiernie skomplikowana. Wrażenie sztuczności zostanie zredukowane, jeśli weźmiemy pod uwagę tę okoliczność, że b. często ludzie rzeczywiści (a wśród nich rzeczywiści inwestorzy), nie znając teorii prawdopodobieństwa, jak gdyby instynktownie postępują niemal według jej zasad.

Wydaje się, że teoria ekonomiczna, której punkt wyjścia zaledwie starałem się wyżej naszkicować, mogłaby m. in. dać nowe wyjaśnienia zjawisk międzynarodowego ruchu kapitałów, wyjaśnienie, może bardziej zgodne z rzeczywistością, niż teoria klasyczna.

Mówiliśmy o tem, jak zachowuje się *homo oeconomicus II* jako inwestor. Pragnę wyjaśnić, że działo się to raczej tytułem przykładu. Probabilistyczne ujęcie innych działań gospodarczych mogłoby być również interesujące.

Jako najprostszy przykład podać można niezupełnie uświadomione stosowanie zasady podziału ryzyka przez drobnych ciułaczy. Jeżeli zaś chodzi o nadmierne komplikacje, to zaznaczyć muszę, że w dniach ostatnich prof. Zb. Łomnicki udowodnił zupełnie precyzyjnie i bez nadmiernych komplikacyj szereg reguł lokacyjnych, dotyczących takiego podziału ryzyka lokacyjnego, przy którym odchylenie średnie od spodziewanej rentowności byłoby w danych warunkach minimalne.

U W A G I

RETROSPEKCJA

Polska polityka gospodarcza w okresie głębokiej depresji koniunkturalnej (1930 — 1934) postawiła w sposób zdecydowany na deflację. Jeżeli chodziło o walkę z przerostami, których było (i jest) w Polsce dość dużo, tak pojętemu zadaniu polityki deflacyjnej należało tylko przyklasnąć, gdyż miała to być (i w pewnym stopniu była) polityka strukturalna, korzystająca z koniunkturalnej okazji, aby uporządkować nasze dziwne podwórko gospodarcze. Walka z przerostami, które zdążyły nabrać cech strukturalnych, mogła liczyć na powodzenie, gdyby jednocześnie była powszechna i głęboka oraz gdyby równolegle stawiała pewne sprawy nie tylko negatywnie, lecz również pozytywnie.

Niestety, wykonanie wspomnianych założeń poszło po odmiennej nieco linii. Nie załatwiono gruntownie sprawy kartelowej, nie uporano się z trudnym ale wdzięcznym zadaniem przebudowy przemysłu węglowego (jak to w dużym stopniu zrobiono z hutnictwem), nie zbudowano kredytu i nie usunięto lichwy na wsi (oddłużenie okazało się skomplikowanym i uciążliwym, a w skutkach mało efektywnym paliatywem), nie usunięto (bo nawet nie próbowano usunąć) jaskrawych nadużyć prywatnego aparatu wymiany, nie usprawniono biurokracji publicznej, poprzestając tylko na mechanicznych redukcjach płac i etatów i t. d., i t. d.

Okres polityki deflacyjnej nie był jednocześnie okresem dostatecznie twórczym. Stworzono, co prawda, Fundusz Pracy, ale program, którego realizację dano do ręki Funduszowi, zakreślono na miarę zbyt skromną, zbyt wstydliwą, żeby mogła ona pasować do ofiar, jakich domagała się owa polityka deflacyjna. A ofiary były — i to duże: kilkaset tysięcy permanentnych bezrobotnych ze słabą nadzieją na poprawę losu.

Polityka deflacyjna żądała tych ofiar w imię — waluty. Stabilizacja złotego miała być rozgrzeszeniem za kominy, które przestały dymić... Niewzruszony kurs waluty wymagał pełnej swobody transferu i unikania presji na instytucję emisyjną (nie dotyczyło to budżetu). A pełna swoboda transferu, która kosztowała nas kilka miliardów zł. wycofanych przez zagranicę kredytów, miała być dowodem, że Polska swe zobowiązania zagraniczne honoruje i że Polska liczy na zrozumienie tego gestu przez jej zagranicznych wierzycieli. Unieruchomione transmisje fabryczne miały być pomostem pomiędzy dzisiejszą biedą a jutrzejszym dopływem ożywczych strumieni zagranicznego kapitału.

Aliści trzeba pecha: transfer został zawieszony. Za jednym pechem przyszedł drugi: reglamentacja dewizowa nie zabiła stałości złotego. Trzeci pech był największy: wbrew przewidywaniom deflacjonistów pożyczka francuska doszła do skutku pomimo zawieszenia transferu m. in. do Francji.

Nie piszemy tego wszystkiego, aby dowodzić, że polityka deflacyjna okazała się błędna. Mogła być lepsza, ale zupełnie złą nie była. Miała jednak niewłaściwe założenie, a raczej jeden niewłaściwy szczegół w ogólnym założeniu: stawiała na zaufanie kapitału zagranicznego, oparte głównie na umiejętności — wyrzeczenia się. Ten dziwny mistycyzm w rzeczach chłodnej kalkulacji nie był wsparty głębszym i szerszym mistycyzmem społeczno-narodowym. Musiał się przeto załamać i chociaż dzisiaj życie daje sobie radę ze skutkami koniunkturalnych błędów, ślad załamania się w sprawach zasadniczych pozostanie trwałą bruzdą, o której zasypanie pokusić się będą musieli ludzie, niezwiązani z tym dziwnym okresem.

k. b.

WCZORAJSZE HASŁA

Ostatnie wypadki, związane z t. zw. ustawami samorządowemi, szczególnie zaś stanowisko zajęte w tych sprawach przez lewicową prasę, skłaniają nas do wypowiedzenia refleksyj, jakie się nasuwają przy okazji zatargów o płace, szczególnie robotników przedsiębiorstw samorządowych (gazownicy, elektrycy, tramwajarze).

Niezależny, demokratyczny, lewicowy Dziennik Popularny w ten sposób pisze o żądaniach pracowników samorządowych: „Są to przede wszystkim żądania skrócenia tygodnia pracy do 40-tu godzin, przywrócenia zupełnej swobody działalności związkowej, zniesienia podatku nadzwyczajnego, *podniesienia* obniżonych *płac* do dawnego poziomu. Żądania słuszne, całkowicie uzasadnione przez obecne położenie materialne pracowników, przez *szalejące bezrobocie* i przez elementarne prawo człowieka pracy do obrony swoich interesów".

Odnoszę wrażenie, że część uzasadnienia stoi w sprzeczności z jednym z żądań. Nie sposób bowiem pogodzić żądania podwyżki płac najlepiej płatnych kategoryj robotników ze zwalczaniem bezrobocia. Sprowadzając rzecz do absurdu można postawić tezę, że przy ograniczeniu czasu pracy i zmniejszeniu wynagrodzeń w pewnym stosunku można byłoby za dane wydatki na robociznę zatrudnić wszystkich bezrobotnych.

Żądanie podwyżki płac roboczych pochodzi z okresu początków walki świata pracy o zwiększenie jego udziału w dochodzie społecznym. Walki niewątpliwie słusznej.

Dziś, gdy tego rodzaju żądania wysuwa dana organizacja, wzgl. partia lub jej organ, sprawa jest zrozumiała w świetle interesów egoistycznych. Natomiast takie stanowisko organu niezależnego raziło mnie początkowo, dopóki w jednym z dalszych numerów Dziennika (Nr. 40) nie spotkałem deklaracji tej treści: „chcemy być pismem świata pracy". Otóż mamy organy oficjalne i nieoficjalne rozmaitych partyj, obozów etc., natomiast wielkiego odłamu społeczeństwa: bezrobotnych, napółbezrobotnych i „zbędnych", — jednym słowem „świata *pozbawionego* pracy" nie reprezentuje nikt. Inaczej bowiem nie sposób zrozumieć tego, że w dalszym ciągu prasa lewicowa bezkrytycznie powtarza wczorajsze hasła, że dotychczas we wszystkich programach gospodarczych i deklaracjach politycznych w odpowiedni sposób, t. zn. w *stosunku do wagi zagadnienia*, nie uwzględniono sprawy bezrobocia w najszerszym tego słowa znaczeniu. W Polsce nie docenia się tego zagadnienia. I sądzić można, że każdy program, który by w należyty sposób nie uwzględniał sprawy bezrobocia, będzie niekompletny i z góry skazany na niepowodzenie. Dotychczasowe środki walki z bezrobociem to były paliatywy, a nie próbą strukturalnego rozwiązania kwestii bezrobocia. Stanowisko prasy niezależnej jest tem bardziej niezrozumiałe, że ona też domaga się strukturalnego rozwiązania zagadnienia bezrobocia.

Na milion pareset tysięcy robotników mamy około pół miliona bezrobotnych. Do tych ilości dochodzą półbezrobotni, a więc niejako „zbędni" wśród robotników.

Na dwadzieścia parę milionów ludności rolniczej mamy kilka milionów „zbędnych".

O ile by doszło (ewolucyjnie czy w drodze rewolucji) do zmian w podziale dochodu społecznego — w pierwszym rzędzie musiałyby być te rzesze wzięte pod uwagę. Stąd wypływa logiczny wniosek, że czołowym żądaniem na najbliższą przyszłość musi być zwiększenie wysokości zatrudnienia, nie zaś żądanie zwyżki płac robotników już zatrudnionych.

Dokonując przenoszenia pojęć powiedzielibyśmy, że w zatrudnieniu musimy pójść na „mengenkoniunktur", nie zaś „preiskoniunktur", jak tego domagają się związki zawodowe i partie, a z nimi ich organy a nawet i organy niezależne, t. zn. niezwiązane z żadną z istniejących partyj czy organizacyj robotniczych czy chłopskich. Właśnie pisma niezależne nadają się szczególnie do stworzenia i spopularyzowania doktryny zatrudnienia możliwie najszerszych rzesz, nawet kosztem redukcji czy niepodwyższania zarobków zatrudnionych i najlepiej płatnych (nie mówiąc oczywista o przesunięciach w innych działaniach dochodu społecznego, przede wszystkim nadających się do niwelacji).

Postulat zwyżki płac jest w tych warunkach szczególnie trudny do uzasadnienia u pracowników przedsiębiorstw miejskich, którzy wszak są sui generis plutokracją czy arystokracją proletariatu.

p. k.

CO I GDZIE?

„Pożyteczna byłaby tylko taka spekulacja — mówi Carlyle — co jest do zrobienia". Można oczywiście spierać się, czy takie zakreślenie granic dla pracy ludzkiej myśli w ogóle jest słuszne. Ale jeśli chodzi o zagadnienia gospodarcze, to podobne postawienie sprawy może, a nawet powinno być przyjęte za wytyczną.

Zdawało by się prostem i oczywistem, że wszelkie rozważania polityczno - gospodarcze muszą mieć jako swój punkt wyjścia konkretnie ustalone cele. Tymczasem panującym u nas zwyczajem jest dyskutowanie na temat dróg i środków polityki gospodarczej, bez wyraźnego określenia celów, do których się zmierza. Bardzo często dyskutanci tych celów nie potrafiliby nazwać, a po prostu mieli „sympatie" do pewnych środków działania np. jedni do deflacji, inni do inflacji. Nierzadko istniały wypadki, kiedy dyskutanci mieli pewne cele natury, powiedzmy, intymnej, których nie chcieli ujawniać. Jasnem jest, że tak prowadzona dyskusja nie może dać żadnych pozytywnych rezultatów, bo w polityce gospodarczej, podobnie jak i w innych dziedzinach życia, nie ma środków uniwersalnych, przy pomocy których można realizować wszelkie cele i we wszystkich okolicznościach. Jeśli zaś chodzi o drugi wypadek, to „naiwni" dyskutują beznadziejnie z pianą u ust usiłując wykazać skuteczność lub bezskuteczność danych środków przeciwnikowi, który ma całkiem inne cele na widoku, „spryciarze" zaś głowią się: o co właściwie oponentowi naprawdę chodzi, cui bono? I taka zabawa trwała nieraz całe lata.

Świat jednak idzie naprzód. Polska również — chociaż powoli. Na przykład dyskusja dewaluacyjna od-

była się u nas w atmosferze zupełnie przyjemnej, na płaszczyźnie rzeczowej. Mówiono nie o tem, czy dewaluacja jest sama przez się sympatyczna, czy nie, czy jest w repertuarze środków klasycznych, czy nie, a po prostu co może w *naszych warunkach* dać, jakie konsekwencje spowodować, czy odpowiada naszym zamierzeniom np. w dziedzinie kapitalizacji lub handlu zagranicznego. I to wszystko bez żadnych założeń apriorycznych.

Ten postęp nie jest jednak wszechobejmujący. Weźmy na przykład sprawę inwestycyj publicznych. Przez lata całe „plan" inwestycyjny polegał na tem, że ustalano globalną kwotę przeznaczoną na inwestycje pod kątem zatrudnienia możliwie największej liczby bezrobotnych. Podział kwot był orientowany według skupień bezrobotnych, a do tego były wnoszone „poprawki", będące konsekwencją tego, że gdzieś, ktoś głośniej krzyczał, wydarzyły się rozruchy bezrobotnych i t. p. Sfery gospodarcze zaś interesowały się w tym zagadnieniu głównie kwestią sposobu sfinansowania.

Dziś usiłujemy już zmontować plan inwestycyjny i to na kilka lat naprzód. Zdaje się jednak, iż nie dojrzeliśmy jeszcze na tyle, by był to plan istotny, to znaczy protekcją woli, a będzie to raczej zsumowanie zapotrzebowań lokalnych i parcjalnych, moderowanych tylko przez dysponenta finansowego t. z. Skarb Państwa.

Jest to bezsprzecznie krok naprzód, bo w ten sposób uzyskamy całkowity obraz tego, co się w dziedzinie inwestycyj robi w całym kraju. Narazie, powtarzam, nie dojrzeliśmy jeszcze do niczego więcej, bo w gruncie rzeczy nie wiemy, co mamy w dziedzinie inwestycyj robić i czego nie robić. Powszechnie się mówi, że nasze potrzeby są olbrzymie, zaniedbania ogromne, opóźnienia w rozwoju — niebezpieczne. Ale jakie potrzeby, jakie zaniedbania, jakie opóźnienia? W odpowiedzi na to każdy będzie mówił o czem innem, na podstawie tego, o czem słyszał, czytał, co widział lub w czem jest zainteresowany. I co z tego wybierać dla realizacji, skoro wszystkiego nie można zrobić?

Warto by było zamiast powtarzać ogólniki o ogromie potrzeb i zaniedbań, zebrać rzetelnie materiały o tem „co jest w Polsce do zrobienia". Zestawić wszystkie projekty i wszystkie żądania mające formy konkretne, a więc linie kolejowe, które warto zbudować, drogi wodne, drogi bite, autostrady, urządzenia komunalne, elektrownie, urządzenia rolne itd. itd. Obliczyć zgrubsza kosztorysy, zsumować, skonfrontować te ciężkie miliardy z istniejącemi możliwościami i zacząć z tego wybierać projekty pilne, możliwe do zrealizowania, a wiążące się ze sobą w pewną logiczną całość. W ten sposób mógłby powstać ogólny plan inwestowania Polski, na podstawie którego byłyby konstruowane plany roczne, zależnie od aktualnych możliwości finansowych i aktualnych konieczności. Słowem najprzód należy ustalić obiekty, i po tem dopiero szukać sposobów sfinansowania, nie zaś najprzód preliminować kredyty, a po tem myśleć co zbudować i gdzie. Zastosowanie takiej „obiektywnej" w kwadracie metody usunęłoby między innemi drażniące dyskusje na temat np. Wschód - Zachód, dyskusje przybierające charakter wyładowań antagonizmów dzielnicowych, podczas gdy celem jest przecież dobro całości

w. s.

PAŃSTWOWY PRZEMYSŁ WOJENNY A PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ PRYWATNA

Państwowe fabryki przedmiotów uzbrojenia, których zdolność wytwórcza jest obliczona na miarę potrzeb wojennych, podejmują się w czasie pokoju produkcji przedmiotów konsumcji pokojowej, w celu wykorzystania, przynajmniej częściowego, istniejących instalacyj i odciążenia w ten sposób kosztów ponoszonych na budowę i utrzymanie tych fabryk.

Słuszności tej polityki nie kwestionuje w zasadzie chyba nikt, nawet zainteresowany przemysł prywatny, skarżący się tylko na konkurencję. Trudno bowiem wymagać, by państwo mało zasobne w kapitały mogło sobie pozwolić na utrzymywanie w stanie zupełnie bezczynnym dużych rezerw zdolności wytwórczej. W niektórych wypadkach mogą oczywiście powstawać wątpliwości co do szczegółów wytwórczości wymienionych fabryk, w szczególności wyboru asortymentu produkcji pokojowej. Przemysł prywatny może np. okazywać zrozumiałe niezadowolenie, gdy państwowe fabryki przemysłu wojennego podejmują produkcję już uprawianą przez przemysł prywatny. Trzeba jednak przyznać, że przemysł prywatny jest w swych skargach na ten dział etatyzmu bardzo powściągliwy, a z drugiej strony trzeba przyznać, że przemysł wojenny podejmuje przeważnie produkcję wyrobów albo nieprodukowanych dotąd w kraju (maszyny do pisania), albo produkowanych w bardzo niedostatecznej ilości, w dużej natomiast ilości importowanych. W ten sposób pole konkurencji z przemysłem prywatnym zostaje zwężone.

Powyższe uwagi, będące odgłosem słyszanych i czytanych poglądów, dotyczą wyłącznie spółżycia państwowego przemysłu zbrojeniowego z przemysłem prywatnym w czasie pokojowym. Z istniejącej praktyki można wywnioskować, że obie zainteresowane strony dbają o dobre spółżycie.

Wystawa przemysłu metalowego nasunęła mi jednak pewne refleksje pod innym kątem widzenia. Zauważyłem, że wśród wytwórców narzędzi do maszyn ogromną rolę odgrywają państwowe wytwórnie uzbrojenia. W tym dziale produkcji jesteśmy dotąd wybitnie niesamowystarczalni, przeto wybór tej dziedziny wytwórczości przez państwowy przemysł wojenny należy uważać za trafny. W wypadku jednak wojny państwowe wytwórnie uzbrojenia będą musiały pójść na fabrykację ściśle wojenną według swej specjalności, tym czasem produkowane przez nie narzędzia odgrywają nie mniej doniosłą rolę podczas wojny jak i w czasie pokoju. W interesie więc naszej zdolności obronnej leży zatem możliwie wszechstronny rozwój wytwórczości narzędzi przez przemysł prywatny.

Na tle tych rozważań nasuwa się jeszcze jedno kryterium do wyboru przez przemysł wojenny asortymentu produkcji pokojowej. Przemysł wojenny powinienby podejmować takie rodzaje produkcji, które mają charakter wybitnie pokojowy, i których

poniechanie podczas wojny nie odbija się na innych odcinkach potrzeb wojennych. Pod tym względem maszynki do mięsa są zdaje się bardzo szczęśliwie wybrane.

Nie znaczy to oczywiście, że podjęcie fabrykacji narzędzi było samo w sobie błędem, bo, o ile się orientuję, fabryki zbrojeniowe odegrały w tej produkcji rolę pionierską. W tym tkwi jeszcze jeden wskaźnik na przyszłość. Przemysł prywatny na ogół unika pionierskich przedsięwzięć, bo do nich z reguły trzeba w pierwszym okresie dokładać i nie ma środków na robienie doświadczeń. Istniejąca jednak fabryka zbrojeniowa więcej będzie dokładać jeśli nie będzie robić nic. W interesie podnoszenia naszego potencjału wojenno - gospodarczego mogłoby się opłacić, by państwowe fabryki świadomie podejmowały prace pionierskie i doświadczalne w zakresie celowo dobranych wyrobów, i przekazywały swe doświadczenia fabrykom prywatnym i wycofywały się potem z produkcji. Wiadomo, że nasza wojskowość przez swe rygorystyczne wymagania wywarła wysoce dobroczynny wpływ na rozwój asortymentu i podniesienia jakości wytworów niektórych gałęzi naszego przemysłu. Może wskazana powyżej metoda okazałaby się jeszcze jednym sposobem podobnego oddziaływania. Ponadto istnieją rodzaje narzędzi precyzyjnych, wyrobu których przemysł prywatny w ogóle się nie podejmie ze względu na drożyznę instalacyj i szczupłość krajowego rynku zbytu, a których fabrykacja jest wybitnie pożądana ze względów obronnych. Tej produkcji mogą więc podjąć się tylko fabryki państwowe, które wprawdzie winne dbać o minimum deficytu ale nie szukać rentowności za wszelką cenę. Słowem państowe fabryki materiałów wojennych, mogłyby się podjąć wobec przemysłu prywatnego roli inicjatora i nauczyciela, co do fabrykacji przedmiotów mających duże znaczenie wojenne, oraz uzupełniania wszelkich w tym względzie braków.

z. sz.

IZBA SPÓŁDZIELCZA

Dwa najpoważniejsze polskie związki spółdzielcze złożyły w Ministerstwie Skarbu projekt ustawy o powołaniu Izby Spółdzielczej.

Tak, jak jest w chwili obecnej, spółdzielnie „należą" do samorządu przemysłowo-handlowego. Każda spółdzielnia, wykupując świadectwo przemysłowe, eo ipso płaci 15%-wy dodatek na rzecz izb przemysłowo-handlowych, płacąc zaś ma pełne prawo współuczestniczyć we władzach i kierownictwie tych izb. W praktyce udział ten nie istnieje, albowiem owe 10.000 spółdzielni (poza kredytowemi i mieszkaniowemi), stanowi zaledwie 2% ogólnej ilości przedsiębiorstw, wykupujących świadectwa przemysłowe od czynności handlowych. Spółdzielnie reprezentują, co prawda, daleko większe znaczenie gospodarcze, aniżeli to wynika ze stosunku ilości firm, ale ten fakt nie czyni ich bardziej miłemi sercu prywatnego handlu i przemysłu. Przeciwnie — izby przemysłowo-handlowe zbyt dosłownie zrozumiały treść niektórych podręczników, wydawanych przez Związek Spółdzielni Spożywców, i nader energicznie zwalczają swych członków, od których bądź co bądź otrzymują na swe utrzymanie kilkaset tysięcy złotych rocznie. Ten nieuzasadniony stosunek izb przemysłowo - handlowych do spółdzielczości, jako też brak wspólnego języka w ujmowaniu spraw gospodarczych ogólnej natury sprawiły, że spółdzielczość zażądała separacji od stołu i łoża. Stąd wspomniany projekt utworzenia Izby Spółdzielczej, projekt, który wywoła ze strony izb przem.-handlowych protest natury ...finansowej, ze strony izb rzemieślniczych — obojętne wzruszenie ramion, a ze strony izb rolniczych — ostry sprzeciw o charakterze zasadniczym, jako że niektóre izby roln. zajęły się ostatnio sprawami kooperacji rolnej i nie chciałyby tracić na nie wpływu.

Utworzenie Izby Spółdzielczej podyktowane jest, jak widzimy, szeregiem różnych przyczyn, z których na plan pierwszy wybija się niemożność dogadania się z izbami p.-h. i nadmierna (zdaniem spółdzielczości) opieka ze strony izb rolniczych. Czy jednak są to wszystkie, a w każdym razie — najbardziej zasadnicze motywy? Wydaje się, że nie, brakuje bowiem uzasadnienia podstawowego: dlaczego spółdzielczość musi utworzyć własny samorząd gospodarczy i to pod zupełnie *odrębnym* kątem widzenia? Jest przecież jasne, że istniejący podział na 3 samorządy gospodarcze wziął za „principium dividendi" przedmiot, a nie podmiot gospodarowania. Stąd izby przemysłowo-handlowe zajmują się przemysłem fabrycznym i kupiectwem, izby rzemieślnicze — produkcją i usługami rękodzielniczemi (ewentualnie decyduje tutaj wielkość przedsiębiorstwa: VI, VII i VIII kat. przem. „należą" do izb rzem.), izby rolnicze — produkcją rolną. Spółdzielczość tkwi immanentnie w każdej z tych trzech grup, widzimy ją bowiem w handlu, przemyśle, finansach i rolnictwie.

Jeżeli więc istniejący system podziałów w sensie, z grubsza biorąc, branżowym ma ulec korektywie, to — zapytajmy — w imię czego ma ta korektywa nastąpić. Czy dlatego, że spółdzielczość — i ta spożywcza, i ta rolnicza, i ta budowlano-mieszkaniowa, i ta kredytowa — posiada *wspólny* sztandar ideologiczny, czy dlatego, że spółdzielczy, *integralnie* spółdzielczy punkt widzenia nie może dzisiaj uzyskać praw obywatelstwa, czy też chodzi o wprowadzenie do polityki gospodarczej państwa czynnika *demokracji,* którą spółdzielczość ze swymi 2 czy 3 milionami członków niewątpliwie reprezentuje? Odpowiedzi na powyższe pytania próżno byśmy szukali w dotychczasowych na ten temat enuncjacjach inicjatorów Izby Spółdzielczej.

Ta ostatnia jest traktowana przez swych projektodawców, jako nadbudowa nad związkami rewizyjnymi spółdzielczymi, których *zbiorowy* pogląd miałaby reprezentować. Czy jest rzeczą słuszną i możliwą sprowadzać do wspólnego mianownika różne przedmiotowo, różne zawodowo grupy spółdzielcze? czy unikniemy przez to konfliktów pomiędzy interesami grupowymi, których odrębności niekoniecznie są zjawiskiem ujemnym?...

Osobną kwestię stanowi konstrukcja projektowanej organizacji. Jedna Izba Spółdzielcza ma się opierać na kilkunastu związkach rewizyjnych, zgrupowanych według podziału narodowościowego, w którego ramach mieszczą się niekiedy zgoła przypadkowe połączenia; tak np. spółdzielnie rzemieślnicze należą do związku spółdzielni rolniczych, a spółdzielnie pracy — do związku spółdzielni spożywczych, ten ostatni zrzesza kooperatywy wiejskie na równi z miejskiemi etc. Utworzenie izb spółdzielczych terytorialnych

(np. wojewódzkich) położyłoby związki na obie łopatki, zaś symbioza izb i związków jest kosztowna i grozi dublowaniem pracy. Na uboczu wreszcie pozostaje stosunek związków i ich Izby do spółdzielni niezwiązkowych, jak długo ustawa o spółdzielniach nie wprowadzi przymusu zrzeszeniowego. Bo nie łudźmy się, że samo utworzenie Izby Spółdzielczej przekona wszystkie „dzikie" spółdzielnie o potrzebie zrzeszenia się, aby tą drogą i poprzez Izbę móc wywierać swój wpływ na politykę gospodarczą rządu. Nie każdy jest aż tak ambitny...

O jednym jeszcze należy pamiętać przy tworzeniu Izby Spółdzielczej. Izba ta nie uniknie losu, wspólnego istniejącym samorządom gospodarczym: będzie nią kierowała *biurokracja* izbowa, aparat urzędniczy, którego dobrej woli i umiejętności nie mamy prawa kwestionować, ale który nie jest w stanie zastąpić „terenu", „masy", społeczeństwa. I to nie jest jego winą, gdyż inaczej być nie może, jeśli każe się Izbie Spółdzielczej reprezentować wspólny front rolników, rzemieślników lub poszukujących dachu nad głową. Gdzie taka wspólność frontu jest możliwa tylko w sprawach ogólno-gospodarczych, tam musi działać biurokracja, kitująca rozbieżne interesy i sprowadzająca je do wspólnego mianownika.

Pomysł utworzenia Izby Spółdzielczej nie jest ani zbędny, ani szkodliwy. Wymaga jedynie zasadniczego postawienia problemu odrębności ruchu spółdzielczego w całokształcie gospodarki narodowej i polityki gospodarczej oraz uprzytomnienia sobie, czem wówczas będą związki i ten demokratyczny głos „dołów", na który spółdzielczość dzisiaj słusznie się powołuje.

z. i.

POTRZEBY ZIEM WSCHODNICH

Posłowie i senatorowie ziem wschodnich złożyli rządowi memoriał w sprawie potrzeb gospodarczych tych ziem w związku z czteroletnim planem inwestycyjnym. To solidarne wystąpienie reprezentacji parlamentarnej wschodnich dzielnic państwa jest objawem niezwykle pożądanym, ile że w chórze głosów, występujących z żądaniami zaspokojenia potrzeb poszczególnych dzielnic państwa brak było dotąd niemal stale wystąpień, motywujących konieczność walki z zaniedbaniami na wschodzie. „Kołaczcie, a będzie wam otworzono". Otóż trzeba przyznać, że kołatanie dzielnic uprzemysłowionych, posiadających doskonale zorganizowane niezawodne reprezentacje i stu... głośnikową prasę na swych usługach, było tak gwałtowne, że w zgiełku, który się skutkiem tego wytwarzał, ginął słaby głos wschodnich dzielnic. Pamiętać przecież trzeba, że siła głosów wołających o inwestycje publiczne w tych lub owych częściach Polski często, bardzo często odbijała się na kierunku prac inwestycyjnych, których program odgrywał rolę bardzo czułego sejsmografu tych głosów, podczas gdy obiektywny układ potrzeb poszczególnych dzielnic odchodził na plan dalszy...

Zanim systematycznie omówimy na tym miejscu potrzeby dzielnic wschodnich, rzucimy tu kilka drobnych informacyj świeżo otrzymanych.

Lida... Dwudziestotysięczne z górą miasto, szybko uprzemysławiające się. Podstawy finansowe rozbudowy miasta są tu zatem pomyślniejsze niż w innych osiedlach ziem wschodnich. Kanalizacja, wodociąg — to luksus w tej dzielnicy, nie mówimy też o nich, ale — zabrukowanie ulic jest właściwie początkiem miasta, które z chwilą dokonania go powstaje z dużej wsi, jak motyl rozwija się, porzucając dojrzały już kokon poczwarki. Miasta na wschodzie są niemal bez wyjątku właśnie tylko wielkiemi wsiami. Lida ma około 30 kilometrów niebrukowanych ulic i 19 kilometrów brukowanych, przeważnie w stanie bardzo zaniedbanym. Koszt budowy 1 kilometra ulicy wynosi około 25.000 zł. Suma niewielka wobec taniości miejscowego robotnika. Na zabrukowanie ulic potrzebaby zatem w przybliżeniu 750 tysięcy złotych. Budżet miasta przewiduje na cele budowy dróg w roku 1936/37 sumę 6.000 zł. Wyraźnie sześć tysięcy złotych! Jeśli tak dalej pójdzie, brukowanie ulic dzisiejszej Lidy trwać będzie lat 125. Tak jednak dalej iść nie może.

Ale może jednak gdzieindziej jest lepiej? Weźmy oto niezbyt odległe od Lidy Baranowicze. Znowu miasto o dużych możliwościach rozwojowych. Niezabrukowanych ulic jest tu 74 kilometry... Czy trzeba mnożyć przykłady? Sądzimy, że jest to zbędne. Trzeba gruntownie poznać potrzeby ziem wschodnich nie lekceważyć ich, choćby tylko dlatego, że dzisiejsze zaniedbanie wschodu Polski zacieśni rynek zbytu dzielnic bardziej gospodarczo zaawansowanych, i odbije się w konsekwencji fatalnie na interesach tych, którzy... głośniej krzyczą.

w.

WALDEMAR PATRZYŃSKI

NAUCZANIE GOSPODARNOŚCI

Zorganizowanie przez P. K. O. kredytu dla drobnych przedsiębiorstw kupiecko - wytwórczych przekształciłoby P. K. O. ze społecznego nauczyciela oszczędności na społecznego nauczyciela gospodarności.

Gdy mówimy o Pocztowej Kasie Oszczędności, to w umyśle już w pierwszej chwili otrzymujemy refleksy w rodzaju: dopływ kapitałów, wolumen wkładów, środki operacyjne itd. — wszystko opatrzone charakterystyką: wielkie, jak na nasze stosunki.

Te refleksy nie są, oczywiście, rezultatem propagandy oszczędnościowej P. K. O., ale istotnym odtworzeniem stanu rzeczy, P. K. O. gromadzi bowiem około ⅓ globalnej sumy wkładów w Polsce. Udział to olbrzymi, jak na jedną tylko instytucję finansową, a za tym stwierdzeniem biegnie natychmiast automatycznie pytanie, wyrażające troskę obywatela kraju biednego: — „Jak jest lokowana ta masa pieniędzy?".

Jest to najpoważniejsze pytanie - zagadnienie, jakie postawić należy wobec instytucji finansowej, dysponującej trzecią częścią dorobku szerokich mas i w konsekwencji swego dominującego stanowiska — obciążonej obowiązkami o skali społeczno - narodowej.

P. K. O., stanowiąc jeden z elementów naszej polityki gospodarczej, nie jest poza zasięgiem krytyki przeciw tej polityce kierowanej, jednakże gdy rozpatrywać będziemy sprawy P. K. O. na tle szeroko pojętej ewolucji społeczno - gospodarczej kraju, to drogi i metody P. K. O. zaliczyć będziemy musieli do może najbardziej uzasadnionych gospodarczo poczynań.

P. K. O. wychować musiała zaufanie do oszczędności wśród Polaków, i to trudne w naszym kraju zadanie, wyjaśnia wiele, zwłaszcza, gdy przypomnimy, że obok wychowawczych zadań wobec obywatela istniały zadania wobec państwa i konieczność dopasowania się do ogólnej polityki gospodarczej.

Ostateczny rezultat był w każdym razie ten, że P. K. O. lokowała 80 do 90% zbieranych kapitałów w papierach długoterminowych, emitowanych przez państwo lub instytucje państwowe i publiczne. Należy jednak wyjaśnić, że tylko niewielki odsetek tych papierów (w r. 1936 — 12%) przypadał na papiery o charakterze skarbowym, podczas gdy reszta stanowiła dowody zaangażowania kapitałów w aktywności gospodarczej długoterminowej, dowody opatrzone licznemi gwarancjami i hipotekami, i z tego tytułu uchodzące w Polsce za najbardziej pewną lokatę.

Ta polityka lokacyjna w połączeniu z dbałością o wysoki poziom obsługi technicznej klientów oraz z metodycznie (co najważniejsze!) prowadzoną propagandą oszczędnościową znalazła aprobatę w społeczeństwie. Wystarczy powiedzieć, że obecny dochodzący do ⅓ udział P. K. O. w globalnej sumie wkładów w Polsce wynosił w roku 1928 około zaledwie ⅛, — a w liczbach absolutnych prawie 900 milionów zł wkładów na 1 stycznia r. b. wobec niewiele ponad 300 milionów w roku 1928. Choć poważna jest rola czynników niezwiązanych bezpośrednio z działalnością P. K. O., które wpłynęły na wzrost udziału tej instytucji w dysponowaniu kapitałami krajowymi, jednak bez wątpienia istotnym czynnikiem była polityka oszczędnościowo - finansowa samej P. K. O.

Stoimy wobec perspektywy nowego okresu koniunktury, którego „regulamin jazdy" powinien być ustalony, a objąć on musi także P. K. O. W dotychczasowym „regulaminie", P. K. O., jak wskazuje kilkunastoletnie doświadczenie wypełniła skutecznie rolę nauczyciela oszczędności i przezorności, a może po prostu nauczyciela wartości. Co 15 człowiek w Polsce posiada obecnie książeczkę oszczędnościową P. K. O. — i to jest właśnie najistotniejszy sukces społecznego propagowania zasady „grosz do grosza", — zasady absolutnie koniecznej w gospodarstwie ubogim w kapitał.

Nowy „regulamin jazdy", — „jazdy w górę" — musi postawić przed P. K. O. dalsze obowiązki: nie wystarczy uczyć zbierać owoce — trzeba uczyć tworzyć owoce.

Polska nie przebyła etapu znanego zachodniej ewolucji gospodarczej, podczas którego tworzyło się drobne i średnie mieszczaństwo drogą intensywnej, wytrwałej i metodycznej pracy rozłożonej na pokolenia. Pokolenia uczyły się powiększać wspólny majątek, a tężyzna gospodarcza, jaką wykazywały, zjednała im zaufanie aparatu kredytowego.

Dziś we Francji najbezpieczniejszą lokatą w warunkach normalnych jest weksel drobnego kupca i małego rzemieślnika. Podczas wojny w r. 1915 ogłoszono w tym kraju moratorium płatności weksli na sumę bodaj 6 miliardów franków. *Nim jeszcze nastąpiło cofnięcie moratorium* — wszystkie te opiewające na niewielkie sumy weksle *zostały bez jakiegokolwiek nacisku* — a dla zwykłego honoru handlowego — *spłacone* w około 99%! — U nas niestety, fakt taki nie byłby zrozumiały i nie mógłby nastąpić, bo inny niż we Francji byłby skład materiału wekslowego!

P. K. O. powinna stworzyć taki materiał wekslowy, aby przytoczony fakt uczynić zrozumiałym i możliwym także i u nas!

Konieczność rozwoju miast i miasteczek celem wchłaniania nieustannego dopływu ludności wydaje się myślowo komunałem ekonomicznym. Konsekwen-

cje, jakie z tego komunału płyną, są już bardzo praktyczne: trzeba zapewnić ludziom „małych interesów“, którzy są ludźmi najliczniejszych interesów, źródło łatwo dostępnego i taniego kredytu obrotowego i po części także zakładowego. A zatem nauczenie mas drobno - mieszczańskich umiejętnego i w pełni odpowiedzialnego gospodarowania środkami kredytowymi — to byłoby celem najbardziej, jak nam się wydaje, właściwym dla dalszej działalności P. K. O.

Nikogo nie trzeba przekonywać, że drobne kupiectwo, drobny przemysł i rzemiosło i w ogóle wszelka jednoosobowa, rodzinna, bądź zatrudniająca paru pomocników działalność przemysłowo - handlowa jest w chwili obecnej najbardziej po macoszemu traktowaną rzeszą niedoszłych klientów naszych instytucyj kredytowych. Rzesza te wzrastać musi, a stać się może z czasem klasą klientów najsolidniejszych. Trzeba tylko nauczyć drobnego wytwórcę i kupca, że bank to jest taka sama instytucja na codzień, jak np. poczta!

P. K. O. jest instytucją finansową, niewątpliwie najlepiej (a nieraz może jedynie!) znaną wśród mas gospodarczych drobnomiejskich. Składają tam pieniądze, wpłacają hurtownikom należności, słyszą, czytają: „Pewność, Zaufanie P. K. O.“. P. K. O. stała się pierwszą instytucją państwową, która w oczach masy straciła charakter urzędu, a przybrała kształty równorzędnego (psychicznie) kontrahenta. Dlatego też żadna chyba inna instytucja prywatna, publiczna lub urząd nie jest tak bardzo predysponowana, jak P. K. O., aby wprowadzić nieokrzesanego nieraz kupiecko człowieka „małego interesu“ w obręb działania normalnego, nielichwiarskiego i niebezprocentowego kredytu. Popularność dotychczasowa P. K. O. jest nie tylko ułatwieniem zapoczątkowania tej nauki gospodarowania pieniędzmi, ale także warunkiem prędkich i skutecznych postępów wśród uczących się mas drobno - mieszczańskich. Podstawą bowiem nauki gospodarowania kredytem musi być wpajanie poczucia odpowiedzialności za każdy otrzymany do dyspozycji grosz, pochodzący przecież z oszczędności najbardziej „szarego“ człowieka. Grosz ten winien być tak starannie i z taką zapobiegliwością gospodarczą obracany, aby przyniósł nie tylko korzyść chwilową kredytobiorcy, ale także, aby w oznaczonym zakresie czasu mógł z absolutną pewnością powrócić do kas kredytodawcy. Jeśli będą to kasy P. K. O., to powrót ten wyda się spłacającemu kredyt szczególnie naturalny, stanowiąc czynność fizycznie i psychicznie blisko związaną z lokowaniem oszczędności własnych. Często będzie się mogło zdarzyć, że posiadacz książeczki oszczędnościowej z sumą wkładów 200 zł — otrzyma od P. K. O. kredyt dla swego interesu rzemieślniczego, kupieckiego czy drobno - przemysłowego, dla swego straganu nawet, na sumę dwu lub kilkakrotnie wyższą.

Spłacanie kredytu w takich warunkach łączyć się będzie z moralnie pogłębionym obowiązkiem względem siebie i innych. Prosty człowiek jest bowiem przewidujący w własnych sprawach pieniężnych, przewrażliwiony nawet w obawie o nieutracenie oszczędności, które nauczył się już zbierać wśród najcięższej i najmniej wynagradzanej bądź najmniej rentującej się pracy. Kto zna tych ludzi, wie, że w ogromnej większości z pewną zabobonną trwogą pomyślą: „A coby się stało, gdyby inni nie zapłacili w P. K. O., gdy ja tam miałem tylko moje 200 zł?! — i jeszcze nie wziąłem kredytu!“. Nic im w tej chwili nie grozi, a jednak boją się myśleć o niesolidności podobnych sobie ludzi, która mogłaby ich samych narazić na utratę oszczędności — i ta obawa nakazuje im czuwać nad otrzymanymi w postaci kredytu środkami obrotowymi. Poza tem, widząc na każdym kroku, jak ten krewny bądź znajomy, ten klient, który kupuje u nich, ten pracownik uczciwie ciułający i ufający w P. K. O., czy wreszcie ten hurtownik, będący nieraz ich ideałem gospodarczym — jak wszyscy oni powiązani są codziennymi prawie węzłami z P. K. O. i z jego sprawną działalnością, — wówczas bez trudu, automatycznie prości ludzie „małych interesów“ wyobrażają sobie nie szkodę, ale klęskę w ich mniemaniu, jaką spowodowałyby trudności finansowe, które wywołać mogłaby niesolidność w spłacaniu kredytów. Takie mogłoby być społeczno - gospodarcze, psychologiczne oddziaływanie akcji kredytowej P. K. O.

Indywidualno - gospodarcze oddziaływanie byłoby równie silne, a skuteczność jego wzmogłaby się znacznie dzięki jednolitej kontroli wykonywanej w całym kraju przez aparat dystrybucyjno - kredytowy P. K. O.

W gęsto zaludnionej Polsce trzeba będzie zawsze dużą ilością pracy i nakładów zdobywać środki utrzymania. Czyż właściciel drobnego warsztatu lub sklepiku zechce ryzykować utratę podstawy swego i swej rodziny utrzymania dla rozmyślnego oszukania instytucji kredytowej na sumę kilkuset złotych, wystarczających zaledwie na przeżycie kwartału? Jest to najzupełniej wykluczone! Przeciwnie, będzie się wszelkiemi siłami starał, aby kredyt był spłacony na czas, lub sprolongowany, gdyż inaczej grozi mu wciągnięcie na „czarną listę“, a wówczas żaden najmniejszy oddział P. K. O. w Polsce nie udzieli mu kredytu bez wyjątkowo poważnych i trudnych do dostarczenia gwarancyj. Niedbałość o interes, niedostateczna pracowitość, lekkomyślność, brak oszczędności w wydatkach — będą się mściły bardziej nieubłaganie, niż dzisiaj, bo przy istnieniu szeroko rozprowadzonego drobnego i taniego stosunkowo kredytu — korzystanie z kredytu lichwiarskiego, jaki jedynie pozostanie dla niedość gospodarnych jednostek, będzie obciążeniem prawie wykluczającym prowadzenia interesu w warunkach konkurencyjności.

Te tak społeczno — jak indywidualno - gospodarcze elementy sprawiają, że drobny kupiec, drobny rzemieślnik, mały producent, słowem — *pracownik we własnym interesie* jest z istoty swej najlepszym dłużnikiem dla odpowiednio zorganizowanego rynku kredytowego. Zbyt wiele można by mówić o powodach, które sprawiły, że w Polsce powyższe stwierdzenie jest całkowicie ignorowane w sferach finansowych. Niewątpliwie dziś w kraju rozporządzamy raczej surowym *materiałem na dobrych kredytobiorców*, ale przetworzenie tego materiału nie jest ani trudne, ani nawet długie, ale *jest bez żadnych wątpliwości konieczne w naszych warunkach gospodar-*

czych. Z punktu widzenia psychologicznego, społecznego i techniczno - kredytowego P. K. O. jest przede wszystkim powołana do urzeczywistnienia tego koniecznego wciągnięcia najszerszych, stale rosnących rzesz polskiego drobnego mieszczaństwa w obręb racjonalnie zorganizowanej sieci kredytowej. Nie jest to zadanie, które może czekać wypełnienia w dalszej przyszłości. Przeciwnie, na drogę wiodącą do jego wypełnienia wejść należy odrazu, korzystając z koniunkturalnej tendencji poprawy. Jest to zresztą także i środek, aby tę tendencję wykorzystać dla strukturalnej poprawy położenia gospodarczego Polski. Na wskazywanej przez nas drodze P. K. O. w roku 1936 uczyniła zaledwie pierwsze kroki, „przez akcję kredytowania drobnego kupiectwa, która ze względu na dogodne warunki spotkała się z wielkim uznaniem ze strony zainteresowanych“. (Konf. prasow. z 21 stycznia.)

Dzięki odciążeniu rynku kredytowego od potrzeby finansowania deficytów budżetowych oraz dzięki poprawie koniunkturalnej charakter nowych lokat P. K. O., będących odpowiednikiem nowodopływających wkładów może (bez szkody dla jakiejkolwiek dziedziny naszego życia gospodarczego, dotychczas alimentowanej przez tę instytucję) ulec zmianie w myśl zadań, jakie wyżej postawiliśmy P. K. O.

Obecna masa lokat w papierach wartościowych tj. 700 milionów złotych, w miarę amortyzacji, mogła by zostać ograniczona do poziomu np. 400 — 500 milionów zł. Odnośnie lokat nowych, powinna być przepracowana i ustalona na szereg lat polityka kierowania ich do najmniejszych jednostek gospodarczych miasteczek i miast, początkowo w postaci (ewent. zabezpieczonego) kredytu wekslowego, kilkumiesięcznego, następnie zaś w innych postaciach bardziej dopasowanych (m. in. pod względem terminów) do potrzeb kredytobiorców.

Gdybyśmy założyli, że w r. 1940 wkłady P. K. O. ogółem osiągną 1.100 milionów, to wówczas lokaty w kredytach dla małych warsztatów kupiecko - wytwórczych mogłyby wynosić (bez zmiany lokat dotychczasowych) 30% lokat w papierach wartościowych (210 wobec 700 milionów zł) podczas gdy obecnie stosunek obu rodzajów lokat wyraża się prawdopodobnie w 1 — 2%.

W ten sposób ze społecznego nauczyciela oszczędności P. K. O. przekształciłaby się w społecznego nauczyciela gospodarności. Byłby to tytuł najbardziej zaszczytny, jakiego udzielić można w kraju ludnym i dziś jeszcze ubogim.

Gdyby ten artykuł był pisany dla np. anglosasów, to zakończylibyśmy go w poprzednim zdaniu. U nas, jak dotąd, fachowcy i laicy, podzielając nawet w całości nasze obserwacje i wnioski, zaoponują w imię tego, że „za granicą“ jest inaczej, niż to, co proponujemy dla Polski. Istotnie kasy oszczędności za granicą nie lokują naogół poważniejszych części zbieranych kapitałów w kredycie dla drobnych wytwórców i kupców (choć tendencje idą i w tym kierunku). Trzeba jednak dać obraz pełny: „za granicą“ drobni wytwórcy i kupcy są zaopatrzeni w kredyt przez rodzimy prywatny aparat kredytowy, „za granicą“ nie istnieje problem błyskawicznego wzrostu miasteczek i miast, czyli rozbudowy drobnych zakładów wytwórczo - rozdzielczych dla zatrudnienia nadmiaru głodującej ludności, „za granicą“ nie ma wielu innych palących problemów — a wszystko to właśnie jest w Polsce! I dlatego żadne względy, że „za granicą“ jest inaczej, nie powinny u nas decydować. Uczmy się metod gospodarczych zagranicą, ale stosujmy je w dopasowaniu do naszych potrzeb specyficznych. Z doświadczenia zagranicy wiemy właśnie, że drobny kredytobiorca jest najlepszym dłużnikiem, a że jest drobny, więc też matematycznie najpewniejszy. O naszych zaś doświadczeniach lokacyjnych nie potrzebujemy pouczać osób interesujących się techniką finansową, wiedzą one bowiem, że również, choć na innej drodze, potwierdziliśmy doświadczenia zagraniczne.

NOTATKI

NAFTA

Coraz to nowa grupa przemysłu występuje z żądaniami podwyżki cen na artykuły swej produkcji. Węgiel, żelazo, papier — jedni po drugich domagają się likwidacji polityki min. Góreckiego, który w grudniu 1935 r. nieubłaganie zginał poziom cen przemysłowych, byle by obniżyć koszty produkcji w Polsce, potanić wyroby przemysłowe i udostępnić je wsi, a ministrowi skarbu ułatwić równowagę budżetu i stabilizację złotego.

Do rzędu atakujących przyłączył się ostatnio przemysł naftowy, w którego imieniu wystąpił dr S. Schaetzel na łamach redagowanego przez siebie „Przemysłu Naftowego". Rozumowanie dr Schaetzla sprowadza się do wykazania, że przemysł naftowy jest nierentowny [1]), bo ma za niską cenę produktów wyjściowych, aczkolwiek czysto kopalniane przedsiębiorstwa mają ceny mocne i powodzi się im nieźle. Autor przypomina, że firmy naftowe uczyniły już wszystko, „aby wydobyć się z upadku", wywołanego brakiem rentowności: „koszty wiercenia i koszty przeróbki ropy w rafineriach zostały możliwie obniżone", „przeprowadzono ulepszenia techniczne", „zamknięto szereg rafinerii, koncentrując pracę w zakładach najlepiej uposażonych", „obniżono w sposób zdecydowany koszty administracji i handlowe", „przeprowadzono prace badawcze i poszukiwawcze".

Wyniki? — Dr Schaetzel twierdzi, że opłakane, bo przemysł naftowy wyczerpał się finansowo. My nie jesteśmy takimi pesymistami i twierdzimy, że nawet, gdyby istotnie przemysł „wyczerpał się" z gotówki, to właśnie teraz nadszedł czas zbioru plonów i owoców z najbardziej rozsądnej pracy, jaką ten przemysł wykonał, obniżając swoje koszty własne, t. zn. budując fundamenty pod trwałą rentowność. Dziwne się trochę wydaje, że dr Schaetzel liczy się z dalszym spadkiem produkcji surowca (ropy) pomimo, iż przemysł nie zaniedbał wierceń i poszukiwań. Jeszcze dziwniejsze jest co innego: jeżeli nastąpi, jak dr Sch. przewiduje, „poważny wzrost zapotrzebowania produktów naftowych", to należy się spodziewać, że zwiększenie zbytu przyniesie zwiększenie dochodu brutto i obniżenie kosztów produkcji na jednostkę towaru. Chyba, że przemysł nie może już zwiększyć dzisiejszej, b. niskiej produkcji (45% wydobycia ropy z 1913 r), a każda nowa tonna będzie kosztowała więcej od każdej dotychczasowej. Ale w takim razie problem naftowy nie będzie tkwił w rentowności, tylko zgoła gdzie indziej. Trzeba będzie pomyśleć o zaniechaniu produkcji nafty z ropy, jeżeli tej ostatniej jest zbyt mało, aby można wyroby z niej sprzedawać tanio ubogiemu polskiemu konsumentowi. Zamiast nafty z ropy — nafta z węgla kamiennego, a chociażby nawet z powietrza, jeżeli to będzie taniej. Bo skoro surowca nie ma lub się nie opłaca (jak np. większość naszych rud żelaznych), to wtedy, kto wie, czy lepiej nie zrezygnować z ambicji posiadania własnych zakładów przemysłowych i sprowadzać surowiec z zagranicy.

[1]) Bilanse „Polminu" stwierdzają stan i tendencję wręcz odmienne.

Nie należy wpadać w przesadę (do czego skłaniają wywody „Przemysłu Naftowego") i wyobrażać sobie, że przerzucimy się wkrótce na import nafty i benzyny lub że zagłębia węglowe lada rok przejmą rolę zagłębi naftowych. Ostatnio stwierdzono w Polsce istnienie bogatych i opłacalnych pokładów rudy żelaznej i manganowej. Jak się podwoi wysiłek poszukiwawczy (na badania Instytutu Geologicznego przeznacza się aż 600.000 zl), to może i nafta wytryśnie. Przemysł naftowy nigdy — nawet w okresie, „prosperity" i dobrej rentowności—nie kwapił się z wiertnictwem, to też tylko dzięki inicjatywie Rządu powstał „Pionier" z 10%-wym udziałem „Polminu". Nie chcemy przypuszczać, że słabość ruchu poszukiwawczego jest pochodną wysokich w swoim czasie cen nafty i benzyny albo faktu, że w przemyśle naftowym „raptem" 93% kapitału (co jest w Polsce rekordem) należy do zagranicy, której interesy nie zawsze pokrywają się z interesami polskiego gospodarstwa narodowego... Wolimy sugerować, że na prace poszukiwawcze w dziedzinie złóż krajowych surowców rząd, wojsko, przemysł i opinia publiczna kładą zbyt mały nacisk, co bezpośrednio odczuwa spożywca sam i do spółki z przemysłem przetwórczym.

k. b.

SŁÓW PARĘ O PSYCHOLOGII GOSPODARCZEJ

Uwagi krytyczne, jakie ogłosił André Gide po powrocie z Z. S. R. R. zrobiły w całym świecie wielkie wrażenie. Obserwacje świetnego pisarza stanowią niezwykle cenny przyczynek do poznania psychologicznego podłoża tego, co dzieje się u naszych wschodnich sąsiadów, między innemi w dziedzinie rozbudowy gospodarczej.

Dla nas szczególnie interesujące jest to, że owe komentarze Gide'a mogą być zastosowane nie tylko do jednego kraju. Posłuchajmy:

„Jeśli interesują się tem, co się dzieje zagranicą, to jednak bardziej troszczą się o to, co zagranica o nich myśli. Najważniejsze jest wiedzieć, czy dosyć ich podziwiamy. Najbardziej obawiają się tego, że nie jesteśmy dość dobrze poinformowani o ich zasługach. Oczekują od nas nie nauk, ale hołdów".

Autor podaje szereg przykładów, a więc: z pobytu „na krążowniku, który mi pokazują i którym mam się zachwycać („całkowicie wykonany w Sowietach"), z odwiedzin we „wzorowym" obozie dla „wzorowych" dzieci w Artek. Tutaj 13-letni „wzorowy" chłopak oprowadzając francuskiego przybysza po parku, usiłuje mu zaimponować, recytuje więc:

— „Niech pan patrzy, tutaj niedawno jeszcze nic nie było... A tu nagle: schody. I to tak wszędzie w Sowietach: — wczoraj nic — jutro wszystko...".

A rzeczywistość? Jest bardzo rozmaita i niezawsze „wzorowa". Obok urządzeń na pokaz — nędza. Gide opisuje wzorowy Kołchoz ze wzorowymi chlewami i wzorowym kurnikiem, w którym dzieje się na praw-

dę świetnie — kurom. „Do tych przybytków — pisze gość francuski dosłownie — wolno wchodzić jedynie, przechodząc uprzednio przez dywan nasycony substancją odkażającą obuwie".

„Ale już przekraczając strumyk, stanowiący granicę sowchozu — ciągnie dalej Gide, — wchodzi się między szeregi ruder. Mieszka tam po czterech ludzi w pokoju objętości dwóch metrów na dwa pięćdziesiąt". Ludzi tych nie stać na korzystanie z restauracji sowchozu. „Muszą poprzestawać na chlebie i suszonej rybie".

Takich obserwacji znajdujemy cały szereg. Konkluzja, jaką z nich wyprowadza autor, brzmi:

„Wpatrywać się w siebie (i podziwiać się) może to być pierwszą troską bardzo młodego społeczeństwa; byłoby jednak godne prawdziwego ubolewania, gdyby ta pierwsza troska był.. jedyna i ostatnia".

Obserwacje znakomitego pisarza francuskiego nasuwają nam szereg refleksji. Robota na pokaz prowadzona jest w Sowietach w stopniu niewątpliwie większym niż w jakimkolwiek innym kraju. Zadziwić cudzoziemców wyspami dobrobytu i wzorowej gospodarki, a w swoich wmawiać, że zajmują oni przodujące stanowisko w świecie — to zadanie, które stawia sobie rząd bolszewicki, i zarazem jedna z głównych zasad, na jakich opiera się t. zw. sowietskoje stroitielstwo. Pod tym względem naszym wschodnim sąsiadom nie można odmówić rekordu.

Przecenianie wartości efektu propagandowego i niedocenianie wartości codziennej nieefektownej pracy, lekceważenie zaniedbań, które powstały pod wpływem niepomyślnych warunków rozwoju wielkich połaci kraju — te cechy, decydujące o kierunku rozwoju jego życia gospodarczego, nie stanowią jednak monopolitycznej własności bolszewików. Taka psychologia gospodarcza jest właściwością — jak słusznie Gide zauważył — narodów młodych. Megalomania narodowa i idąca z nią w parze robota na pokaz wywiera wielki wpływ na rozwój gospodarczy krajów. Jeden z wybitnych pisarzy naszych poświęcił niedawno całą monografię tej właściwości na rodzimym gruncie.

Uwagi Gide'a o naszych sąsiadach są bardzo pouczające. Kto wie, może po ich przeczytaniu dziwnem wydać się nam, że u nas w kraju marzą się nam wspaniałe okręty i gładkie jak stół a kosztowne drogi samochodowe, a zapominamy o rozległych przestrzeniach, na których tu wśród wertepów a owdzie wśród moczarów żyją miliony istot ludzkich, na poziomie wegetacyjnym, żyją oddzielone od reszty kraju setkami kilometrów bezdroży. Czy nie byłby czas poddać rewizji naszej własnej psychologii gospodarczej, zerwać z fikcjami i ustalić hierarchię potrzeb ekonomicznych, bez względu na to, czy one się komukolwiek podobają i czy zaspakajają pęd do nowinek, właściwy umysłowości technicznej, której prymat w Polsce przed umysłowością ekonomiczną w sferze zagadnień, w jakich właśnie ono jest kompetentne, uchodzi dotąd za dogmat.

w.

NA BEZROBOTNYCH, CZY NA INNE CELE?...

Budżet państwa polskiego nie był nigdy i nie jest też dziś szczególnie hojny na cele polityki społecznej, której też trudno przypisywać wielką rolę w systemie naszej polityki gospodarczej.

Zagadnienie potrzeb polityki socjalnej w dzisiejszym układzie stosunków, potrzeb budżetowych — wymagałoby obszerniejszego traktowania. Tutaj pragniemy jedynie zwrócić uwagę na zjawisko, które było dla nas wielką niespodzianką przy czytaniu budżetu. Oto w preliminarzu Min. Opieki Społecznej — w dziale 9, pozycja 3, § 23 znaleźliśmy sumę zł. 4.708.400 tytułem „opłat specjalnych na pomoc dla bezrobotnych". Wyjaśnienie do § 23 mówi, że są to opłaty pobierane przez P. K. P. od biletów kolejowych i przesyłek towarowych na zwalczanie bezrobocia.

Są to zatem bądź podatki celowe, bądź ofiary, zależnie od tego, czy mają charakter przymusowy, czy też nie. U nas bardzo często opłaty tego rodzaju mają charakter... mieszany.

Opłaty te, wprowadzone do budżetu, wpływają, rzecz prosta, do ogólnego kotła, jakim jest Kasa Państwowa, służąc wykonaniu różnorodnych zadań. Używane są więc zarówno na cele opieki społecznej, jak np. na premie eksportowe dla wielkiego przemysłu... W ten sposób mogą mijać się z celem, któremu winny służyć (względnie na jaki są inkasowane od ofiarodawców). I dlatego rodzą się obawy, żeby nie zabłądziły one w budżecie, jak zbłądzi czasem w lesie dziecko pozostawione bez opieki, które z tym brakiem pamięci starszych zdołało się już nieco oswoić...

Aby te obawy rozwiać, wystarczyłoby, aby w budżecie, oprócz wpływów z tego źródła, zostało zupełnie wyraźnie uwidocznioną po stronie rozchodowej odpowiednie zużycie tych wpływów. Ważna byłaby również kwestia drogi, jaką dostają się zebrane sumy od inkasenta do instytucji zajmującej się pomocą bezrobotnym.

acp.

BRAKI STATYSTYKI

Słynny w swoim czasie, a będący do dziś kopalnią materiałów o rozwoju gospodarczym Stanów Zjednoczonych A. P. raport Komisji Hoovera, podaje liczby o globalnej mocy silników zainstalowanych w przemyśle oraz o ogólnej mocy motorów w U.S.A., robiąc przy tem uwagę, iż bardzo jest interesujący fakt całkowitej zbieżności stosunku między ilością H. P. istniejących silników na głowę ludności, a sumą dochodu narodowego na głowę w U. S. A., Niemczech, Anglii i Francji, Dochód narodowy na 1 Amerykanina jest akurat tylokrotnie większy co Francuza lub Anglika, ilokrotnie więcej koni maszynowych ma na swoje usługi Amerykanin.

Wpływ mechanizacji pracy na jej wydajność jest rzeczą znaną, tak wysoki jednak stopień spółzależności między dochodem społecznym na głowę a odpowiednią sumą energii mechanicznej jest istotnie uderzający.

Cyfr tego rodzaju dotyczących Polski w „Małym Roczniku Statystycznym" nie znalazłem. Nie wiem, czy u nas był kiedykolwiek robiony spis czynnych silników. Posiadanie takich danych miałoby znaczenie nie tylko teoretyczne, gdyż uświadomienie dokładne naszych braków (na oko można powiedzieć o tych brakach, sądząc ze spożycia na głowę ludności węgla, nafty, benzyny i energii elektrycznej) jest podstawą do wytyczenia konkretnych zadań w bieżącej działalności gospodarczej.

Toż samo można powiedzieć o spisie zainstalowanych w przemyśle obrabiarek do metali, tak jak się to robi w stosunku do wrzecion i krosien.

Sądzę, że spis silników i obrabiarek miałby wartość znacznie większą niż maszyn włókienniczych, primo, ze względu na to, że są to gałęzie przemysłu niedostatecznie rozwinięte, w których będziemy szli naprzód więc dla kalkulacji jest rzeczą ważną mieć dokładne dane o pojemności rynku, a sekundo — rzecz jest wybitnie ważna pod względem wojenno - gospodarczym, bo każda niemal obrabiarka może być zastosowana do wyrobu amunicji i innych materiałów wojennych. Dobrze więc znać nasze możliwości i pod tym względem, oraz wiedzieć o rozlokowaniu tych maszyn „w przestrzeni".

Warto zaznaczyć, że statystyka sowiecka stale publikuje dane o mocy silników w każdej gałęzi przemysłu, oraz ma dane o zainstalowanych obrabiarkach łącznie z wiekiem tych obrabiarek.

Prosimy G. U. S. o potraktowanie tej notatki, jak listu do redakcji „Rocznika Statystycznego".

z. sz.

IGRASZKI

Sfery ziemiańsko-konserwatywne zwalczają politykę min. Poniatowskiego. Objaw ten jest najzupełniej zgodny z logiką rzeczy, wspomniane sfery mają w tem swoje racje i swoje powody: Nie mam zamiaru poruszać w tej notatce meritum sporu, który przecież toczy się już wielki. Po prostu trafiłem na argument, który mnie ubawił, a w naszych ciężkich czasach warto wykorzystać każdą okazję do podtrzymania humoru.

Dziennik „Czas" pisze: „Naszą politykę rolną prowadzi Minister Poniatowski po linii wręcz odwrotnej, jak prowadzona jest ona w innych państwach a zwłaszcza u naszego zachodniego sąsiada".

Mamy więc wyraźne wskazania na przykład niemiecki jako godny naśladowania. Nic nowego pod słońcem. Niemcy zawsze miały autorytet w Polsce i nie tylko w Polsce, bo, zresztą, pod wieloma względami na ten autorytet rzetelnie zapracowały. To też i ja nie będę bagatelizował przykładu niemieckiego. Tylko że... stosunek ludności miejskiej do wiejskiej jest w Niemczech akurat odwrotny jak w Polsce, wieś w Niemczech jest niedoludniona, — w Polsce przeludniona, Niemcy mają niedobór produkcji rolnej, — my nadwyżki, słowem wszystko odwrotnie.

Jeżeli więc Niemcy są genialnym narodem i ich polityka rolna jest ze wszech miar prawidłowa, to możnaby u nas zastosować metodę postępowania w myśl przykazania Mahometa „jak masz co zrobić, to poradź się kobiety i zrób odwrotnie", a więc patrzeć na Niemcy i robić odwrotnie.

Przyjąwszy tego rodzaju założenie należy bez dyskusji uznać politykę min. Poniatowskiego za słuszną. „Czas" jednak uważa ją za wybitnie niesłuszną. Więc jak to należy rozumieć; bo jeśli mamy naśladować Niemcy, będąc w sytuacji odwrotnej, to w takim razie Niemcy prowadzą politykę fałszywą i dla nich byłaby odpowiednia akurat polityka min. Poniatowskiego, a więc ministrowie Darre i Poniatowski powinni pomieniać się koncepcjami, bezdewizowo, w ramach polsko - niemieckiego clearingu.

Tego rodzaju rozwiązanie sprawy tai w sobie jednak ogromne niebezpieczeństwo, bo zostałoby niewątpliwie uznane przez świat żydo - masoński za dowód ścisłego sojuszu polsko - niemieckiego, co natychmiast spowodowałoby żydowsko - masońską krucjatę przeciw Polsce pod wodzą Moskwy. Ponieważ nie zdążyliśmy jeszcze odpowiednio wykorzystać francuskiej pożyczki, to taka krucjata mogłaby się źle dla nas skończyć, a wówczas wielka własność rolna zostałaby zlikwidowana bez odszkodowania.

I tak więc źle i tak niedobrze, ale chyba lepiej Niemców nie naśladować.

s. k.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.